

# Wahadło demograficzne

28 lutego 2013

O tym, że Stany Zjednoczone są krajem raczej konserwatywnym, nie trzeba przekonywać uważniejszego obserwatora. Powodów tego stanu rzeczy jest wiele i można by poświęcić całe tomy każdemu z osobna: od purytańskich korzeni kolonistów poczynając, poprzez wpajany od najmłodszych lat bezkrytyczny sposób widzenia siebie, intelektualny izolacjonizm, na ogromnej roli i kulcie pieniądza we wszystkich sferach życia kończąc.

Pokonany w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich kandydat republikanów Mitt Romney był wręcz chodzącym ucieleśnieniem amerykańskich „cnót”: skrajnego oportunisty, który, o ile tylko umiejętnie maskowany, uchodzi za wzór konsekwencji, egoizmu w takiej skali, że można go pomylić z troską o bliźnich, niezłomnego przekonaniu o swym przeznaczeniu, a także pewności, że pieniądze kupią wszystko, także Biały Dom, który najlepiej prowadzić jak korporację.

Romney przegrał, a najczęściej przytaczanym, przynajmniej za oceanem, powodem porażki były osobiste defekty nominata: brak charyzmy i, co gorsza, umiejętności maskowania się, liczne wpadki: słowem, czysta kosmetyka. Co bystrzejszy amerykańscy komentatorzy zwracają z kolei uwagę na czynnik demograficzny – rosnącą z roku na rok populację, do której wizja uosabianej przez republikanów starej, białej Ameryki z oczywistych względów nie trafia. Nic dziwnego, że nieatrakcyjność Romneya jako kandydata oraz ideologiczne oblicze jego partii popchnęły tę grupę w ramiona demokratycznego prezydenta Baracka Obamę.

Obama, nie tylko ze względu na kolor skóry, reprezentuje amerykańską centrolewicę, nie przejawiającą co prawda zapędów rewolucyjnych, lecz zdającą sobie sprawę z konieczności gruntownego remontu starej Ameryki, między którą a tą nową pogłębia się przepaść. Taka polaryzacja jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Do lamusa odeszły czasy, gdy demokratów i

republikanów w większości spraw dzieliła sama przynależność partyjna. Benjamin Barber słusznie zauważył, że o ile między Billem Clintonem a Bushem seniorem różnica była stosunkowo niewielka, o tyle między Bushem juniorem o Johnem Kerryem znaczna, a między Obamą i Romneyem już kolosalna, pamiętając oczywiście, że wciąż operujemy skalą amerykańską. Choć Obama przeprowadził zmiany, o których sama myśl przyprawiłaby demokratów z lat dziewięćdziesiątych o ból głowy, jak wprowadzenie systemu (prawie) powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych czy poparcie praw mniejszości seksualnych, to zapewne gdyby był politykiem europejskim chętniej zasiadałby wśród niemieckich chadeków czy francuskich neogaullistów. Z kolei postaci jak jawnie socjalistyczny senator Bernie Sanders z Vermontu wśród ziomków uchodzi za skończonego radykała, podczas gdy na starym kontynencie reprezentowałby socjaldemokratyczny mainstream.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że Stany Zjednoczone w ostatnich latach skręciły na lewo, choć nieznacznie. Prawie połowa społeczeństwa stanęła murem za tak fatalnym kandydatem jak Romney i partią zdominowaną przez ekstremistów spod szyldu Tea Party, przy których nasz PiS wygląda na zgromadzenie pokojowych centrystów. Tak naprawdę nie chodzi o osoby Obamy i Romneya czy platformy partyjne, lecz o fundamentalną wizję Ameryki: kurczowe trzymanie się konserwatywnej, zamkniętej w sobie, białej, protestanckiej Ameryki czy Ameryki bardziej otwartej na zmieniający się świat.

Źródeł popularności drugiego spojrzenia też jest wiele, jak choćby otwarcie jakie siłą rzeczy wymusza epoka internetu, kac po kryzysie finansowym i moralnym zafundowany przez ekipę George'a W. Busha, czy narastające resentymenty wobec „There Is No Alternative”, które przecież nie mogły ominąć Ameryki. Jednakże najtrwalszym, z nich jest zmiana demograficzna. Najtrwalszym dlatego, że nie-biała populacja Stanów Zjednoczonych zwyczajnie się powiększa i ten trend się utrzyma. Tak długo, jak republikanie będą reprezentować

wystraszonych wszelką zmianą białego człowieka z prowincji, tak długo mniejszości: Afroamerykanie, Latynosi (w amerykańskiej terminologii nie klasyfikowani jako „biali”) i Azjaci, będą ciążyć ku demokratom. Żeby przyciągnąć choćby część ich głosów, republikanie musieliby stać się partią bardziej mentalnie otwartą, czyli odsunąć się od prawej ściany. Sytuacja nie do pozazdroszczenia: odsunięcie grozi buntem we własnych szeregach, uparte trwanie na pozycjach politycznym wymarciem.

Błędem byłoby przypuszczać, że wraz z, bądź co bądź nieznaczną, reelekcją Obamy, w Ameryce ukonstytuowała się nowa większość, odsuwając od panowania potomków Silent Majority, która z kolei zastąpiła pokolenia New Dealu i Great Society. Minie jeszcze sporo czasu, nim demograficzna supremacja skostniałych WASPów zostanie wyparta przez koalicję mniejszości i światłej części białych. Sytuacja Stanów Zjednoczonych, jaką mamy obecnie, to chwiejna równowaga. Wyborcy starej Ameryki są lepiej zorganizowani, czemu dali przykład popierając Romneyem mimo panujących wśród nich wątpliwości. Nowa Ameryka potrzebuje silnego impulsu, jakim była na przykład historyczna kandydatura Obamy w 2008 (i strach przed restauracją cztery lata później). Czarnych i Latynosów jest coraz więcej, ale większość z nich nie głosuje regularnie. Lecz dominacja nowej koalicji jest nieunikniona, kwestią sporną pozostaje kiedy.

I tu pojawia się pytanie zasadnicze. Czy nowa większość zdoła z czasem przewartościować amerykańską mentalność i wprowadzić fundamentalne zmiany, czy też zostanie wchłonięta przez, upudrowany pro forma establishment, reprezentujący mniej lub bardziej agresywnie stary kanon? Trudno o prognozę. Nie wiemy nawet, kim naprawdę jest sam Obama: rewolucjonistą małych kroków, który nie może iść szybciej niż na to pozwoli mu system, czy w gruncie rzeczy konserwatystą przez małe „k”.

Autor: Krzysztof Pacyński

Źródło: [Lewica](#)